

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosobnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2) m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcji: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracji: Krakowskie - Przedmieście 66,
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 42 z dnia 20 października 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

POLECA: WEŁNY, BAWELNY, JEDWABIE, BIELIZNĘ i GALANTERJE, DAMSKA, MĘSKA, DZIECIĘCA. WYPRAWY ŚLUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA
BEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZY

SUKIENKI DLA PANIENEK-UPRANKA DLA CHŁOPCÓW-BEKIESZE i PALTOTA DLA PANÓW

OBUWIE:
DAMSKIE i
DZIECIĘCE.

10401

Uroczystości Kościuszkowskie.

Pomyślnie odprawiliśmy uroczystość Kościuszkowską w żałobną rocznicę stulecia jego śmierci. Dzień jesienny powstrzymał swe chłody i wiatry październikowe; tłumy warszawskie z niezawodną serdecznością przystąpiły do obchodu; obywatelskie organizacje wykazały sporą miarę sprawności, choć zapomniały (na ten jeden raz), że i prasa ma w czasie takiej uroczystości narodowej pewną służbę publiczną do wypełnienia. Pozytywne, jeżeli kto tem słowem mianuje, „namacalne” korzyści obchodu są skromne. Przybyła miastu ulica Kościuszkowska, piękny bulwar nad Wisłą, przeznaczony do znakomitego rozwoju. We front Ratusza wstawiono prosty kamień z wydłubanym napisem pamiątkowym, bo na brąz obecnie nie można było sobie pozwolić. A sali obrad Rady Miejskiej przybył portret Kościuszkowski, dar i dzieło zdolnego malarza, p. Zawadzkiego. Namacalne i zapewne, że pozytywne są liczne wydawnictwa okazyjne, wśród nich Tetmajera, A. Śliwińskiego, Baranowskiego, Jezierskiego i innych. Przybyło na termin i dzieło Mościckiego o Jakóbie Jasińskim, już naukowa, nie okolicznościowa praca. Uświadomienie narodowe i przygotowanie historyczne posiadało w ten sposób dość środków działania i należy się uznanie głównie firmom Ge-

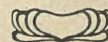
bethnera i Wolffa i Arcta za dostarczenie tych środków. Teraz należy tylko życzyć, aby książeczki te odnalazły drogę pod strzechy.

Mowy, nabożeństwa i odczyty dnia Kościuszkowskiego, dekoracji pełne, świętem umocnione, zostawiają z pewnością głębszą pamięć w prostej duszy dzieci i ludu. Mówił mi znajomy, odbijając pewne krytyki, które chyłkiem i lekliwie pełzały po mieście: „Panu i mnie obchód nie był potrzebny, nie był przynajmniej konieczny. Ale niech pan zobaczy, jakki udział w nim wzięła rozwijająca się i łaknąca mężczyzn, bohaterskich wrażeń dusza młodzieży. Niech pan dowiedzie się, jak rzetelnie taki obchód wstrząsnął istotą odrętwiałą w pracy i mozole warszawskiego rzemieślnika, sklepikarza, stróża, posłańca. Na dnie duszy każdego człowieka, jakkolwiek mocno byłby przywalony okrutnym ciężarem życia, jest łaknienie idealnych rzeczy. Taki obchód, to właśnie uidealnienie dusz, zmartwiających w objętych życia. A, panie, suma ideałów, rozproszona po narodzie, toć największy kapitał narodowy”.

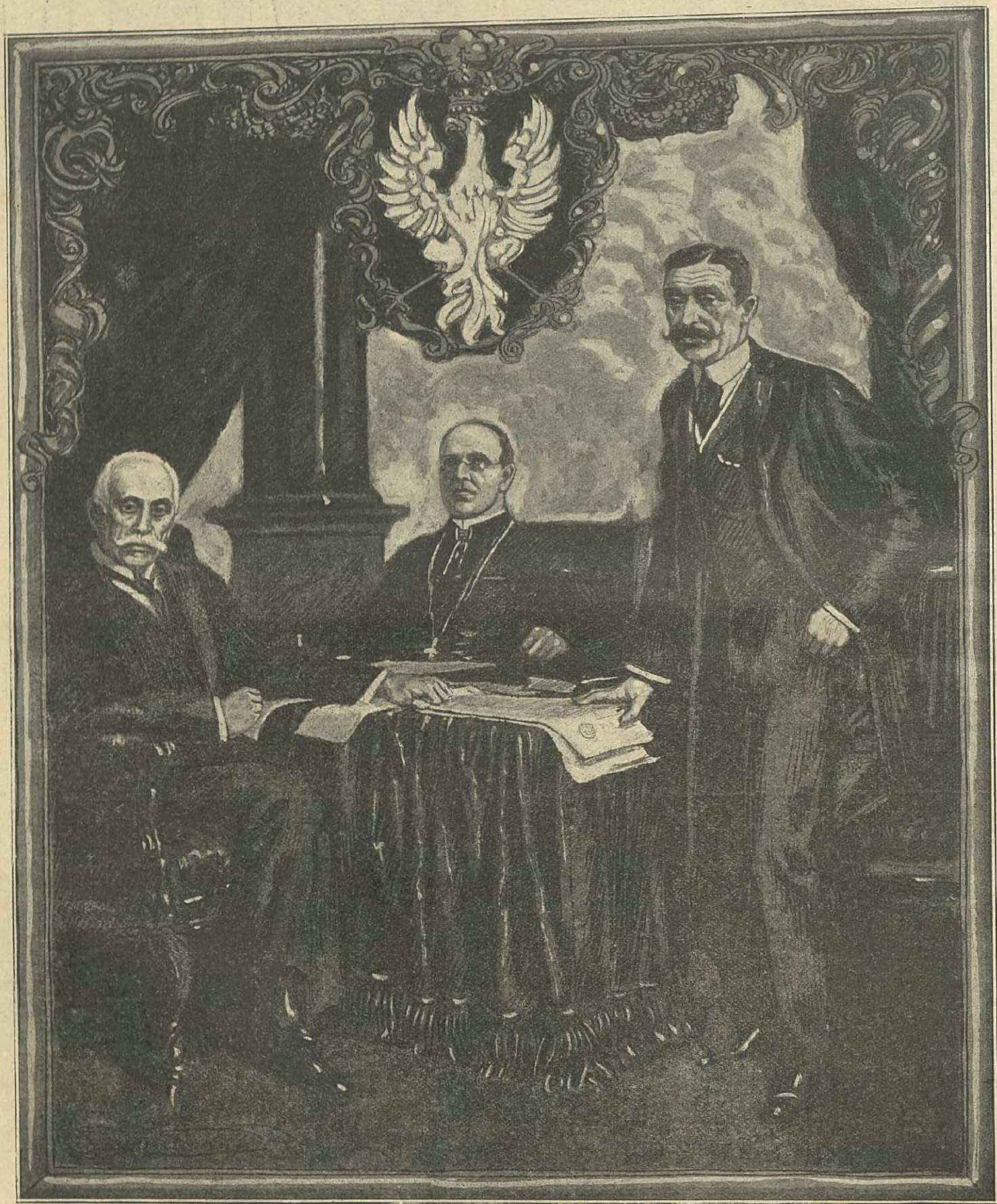
Ten człowiek ma oczywistą rację. Ma jej mawę więcej, niż sądzi i mówi. Bo i jemu, i mnie, i tobie obchód był również potrzebny, i również coś rzetelnego, jeżeli już nie ożywczego wprowadził do głowy.

Była to lekcja historyczna, bardzo substancjalna, choć z natury uroczystości nie wszechstronna, bo wyjąłwiona z krytycyzmu bardziej radykalnego. Znajomość historii ojczystej bardzo u nas szwankuje. Nawet w sferach inteligentnych niewiedomość bywa grubą, nieraz wprost skandaliczną. Wyjątkowym jest Polak, któryby miał na posługi swej politycznej argumentacji dostateczny zapas wiadomości historycznych. I w dziale historii polskiej i w dziale historii europejskiej jesteście w wysokim stopniu zaniedbani. Wytłomaczyć to, zapewne, można. Ale nie usprawiedliwić. Na wyróżnienie zasługiwały przemówienia prof. Smoleńskiego, prof. Mościckiego, ks. Lubomirskiego, p. Suligowskiego, A. Śliwińskiego, Or-Ota. A już rzewnie serce otwierały przemówienia chłopów naszych, którzy raz jeszcze dowiedli, że nie pójdą z nikim innym a tylko z narodem, i że nie tylko tęgą garść posiadają, która uczyniła ich znakomitymi pracownikami, a uczyniła i świetnymi żołnierzami polskiego wojska, ale że i zdolni są niepospolicie, a tylko okazji im brakowało, aby na mówców się wyrobić.

Świętowano w tym dniu powszechnie. Wszystkie sklepy w śródmieściu były zamknięte. Rzadko gdzie z za szyby wystawowej nie patrzył na przechodnia wizerunek czczonego bohatera. Pisma wydały numery pamiątkowe.



Rada Regencyjna Królestwa Polskiego.

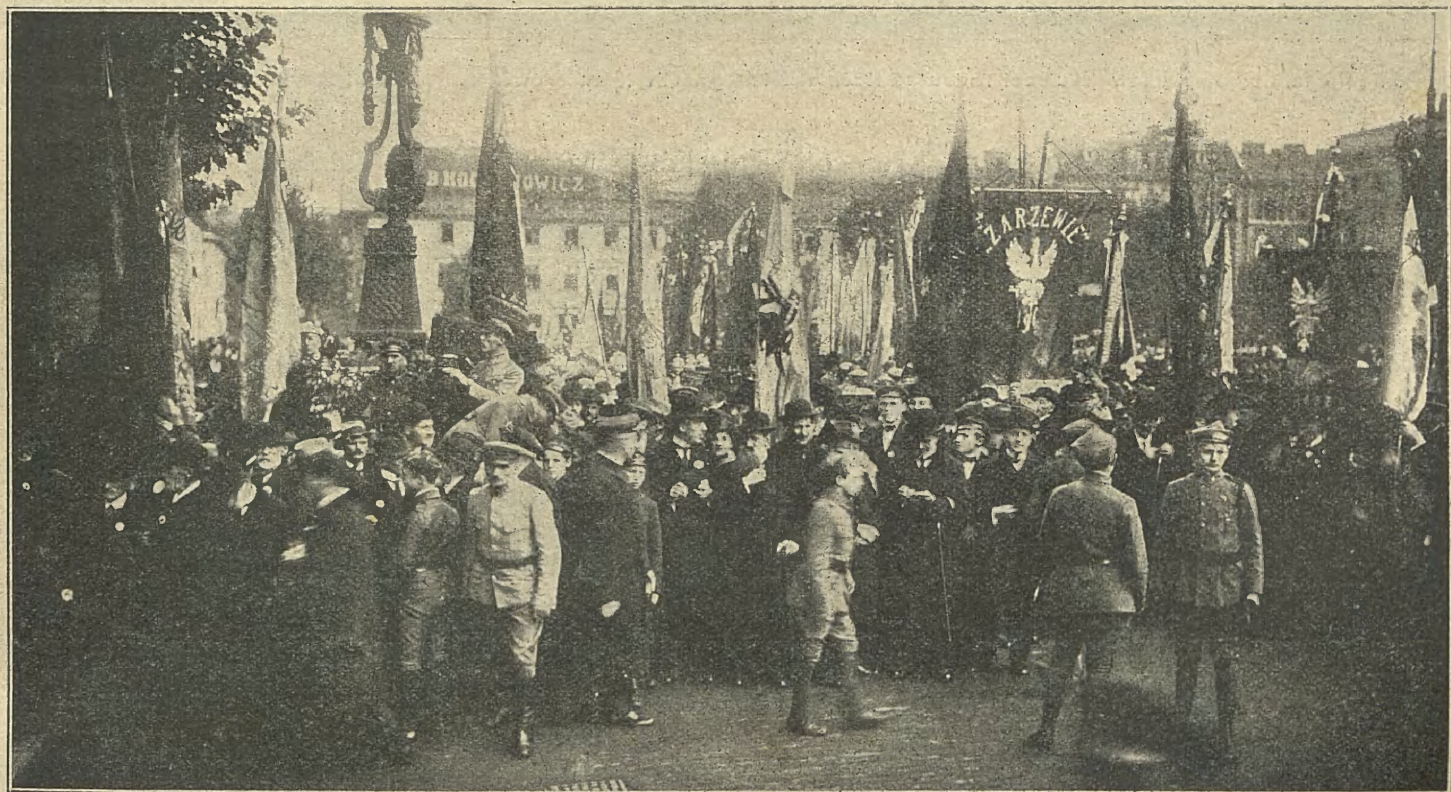


Józef Ostrowski, Arcybiskup Metropolita Aleksander Kakowski, Książę Zdzisław Lubomirski.



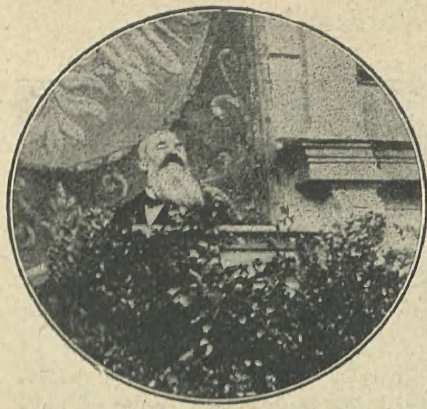
Fot. Maryan Fuks.

Dnia 15 b. m. uroczyste odsłonięto tablicę ku czci Naczelnika na gmachu Ratuszowym.



Fot. Maryan Fuks.

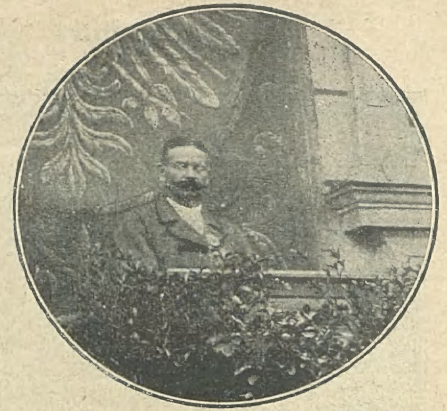
Korporacje, cechy i inne organizacje, podczas uroczystości na Placu Teatralnym.



WŁ. SMOLEŃSKI, znany historyk, przema-
wiał imieniem Komitetu obchodowego, wrę-
czając tablicę pamiątkową ku czci Naczelnika
władzom Miasta.



Prezydent, Ks. ZD. LUBOMIRSKI, obecnie
członek Regencji, przyjmując tablicę, wy-
rzekł: „W zgodzie i łączności, w zbiorowej sile
powstaniemy do twórczego czynu i powtórzę za mni-
rodacy pełnym głosem: „Pod Twoim znakiem
wyrwamy!”



Włocianin Maciejowicki, KUNA, wzruszo-
ny, przemówił do tłumu: *W imieniu wszystkich*
wołam: „Cześć nieśmiertelnej pamięci Naczelnika
naszego Kościuski, który chłopów uczynił wol-
nymi obywatelami, cześć i tym, co go naśladowa!”

Obchód Uroczystości Kościuszkowskiej w Uniwersytecie
Warszawskim.

Przedstawiciele Rządu austro-
węgierskiego na uroczystości.



Odświnięcie tablicy pamiątkowej ku czci Tadeusza Kościuski na gmachu Kaźmierowskim.



Delegat austro-węgierski, bar. Ugron, i
zastępca Komisarza austro-węgierskie-
go przy T. R. Stanu, radca dr. I. Rosner.

Poświęcenie sztandaru Koła Rolników wyższej Szkoły Rolniczej.



Uroczyste zebranie w Sali Muzeum Przem. i Roln. urządzone na pamiątkę poświęcenia sztandaru z pp. dyr. Kiślańskim i dyr. dep.
oświaty Mikułowskim-Pomorskim na czele.

O NASZĄ KULTURĘ MUZYCZNĄ.

(ANKIETA ŚWIATA).

Niemuzykalność naszego społeczeństwa stała się już przysłowiową. Trzeba niestety stwierdzić, że potrzeba odczuwania i rozumienia muzyki, oraz czynnego z nią współzycia streszcza się u nas w objawach nader skąpych, często wprost anormalnych i szkodliwych. Tak zwane zamiłowanie do muzyki bywa często nieporozumieniem tylko, entuzjazmem fałszywym i usiłowaniem rozwijającym się po drodze najłatwiejszego oporu. Przysłowiową jest zresztą abstynencja żywiołu aryjskiego na wszelkich widowiskach muzycznych.



Stanisław Kazuro.

Wyłamają się tedy w dzisiejszej dobie, w której ważną jest wszelka rekapitulacja cech narodowych, dwa zasadnicze pytania:

Czy jesteśmy narodem posiadającym uzdolnienia muzyczne?

W jaki sposób możemy zostać narodem muzycznym?

Istnieje pomiędzy nami człowiek, który poświęcił się ze szczególnym uporem zagadnieniu naszej muzyczności i zagadnienie to usiłuje w sposób praktyczny rozwiązać.

Jest to prof. Stanisław Kazuro, znany w Warszawie jako kompozytor i kierownik chórów.

Dziecko śpiewnej Białorusi, wyniósł stamtąd upodobanie do tej sztuki, którą najpierwotniejszą jest formą muzyki, a wznieść się daje do najbardziej artystycznych wyżyn. Studium nad śpiewem poświęcił się ze szczególnym zamiłowaniem od tej chwili, kiedy niespodziewaną choroba pozbawiła go wielce obiecującego głosu. Kształcił się w akademii św. Cecylii, studjował kapelę sykstyńską. Osiadłszy w Warszawie, rozpoczął pracę gorączkową. W tej chwili jest kierownikiem chórów filharmonicznych, przygotowuje kilka wielkich oratorjów, zorganizował kapelę rorantystów i prowadzi chóry dziecięce w szkole ufundowanej przez Wojciecha Sawickiego na Powiślu.

Poza tem wszystkiem na podstawie studiów teoretycznych i doświadczeń własnych opracowuje projekt nauki śpiewu, który, gdyby przyjęty został we wszystkich naszych szkołach, stałby się podstawą twórczą do wskrzeszenia prawdziwej muzykalności w Polsce.

Zapoznajmy się tedy z jego wywodami!

Srodek na nasze niedomagania.

— Czy jesteśmy narodem muzycznym? — zapytałem prof. Kazuro na wstępie naszej rozmowy.

— Jest w tym zagadnieniu wiele nieporozumień. Naturalnie, jesteśmy narodem muzycznym. Nie posiadamy wprawdzie takich zdolności muzycznych, jak Włosi, Rosjanie, Litwini lub Ukraińcy, nie mamy takiej kultury muzycznej, jak np. Niemcy—ale jesteśmy muzykalni, bezwątpienia. Przekonałem się o tem sam dowolnie. Stosunek nasz do muzyki takbym przeto określił: mamy zamiłowanie do muzyki, ale nie posiadamy wychowania muzycznego. U nas wszyscy grać i śpiewać lubią—ale jeszcze więcej lubią się poisywać. Panienka, która ledwo na fortepianie brzdąkać zaczęła, o tym tylko marzy, aby kogoś muzyką swoją zachwycić. Młodzież szkolna, nauczywszy się kilku piosenek śpiewać chórem — myśli o występach. Mało kto jednak uprawiać chce muzykę poważnie, nie obliczając na efekt.

— Co, zdaniem pana, należy uczynić dla podniesienia naszej muzyczności?

— Widzę tylko drogę jedną, a mianowicie naukę solfegia czyli czytania głosem. Solfegio należy przede wszystkim wprowadzić w szkołach muzycznych. Trzeba czemprędzej stworzyć zastęp odpowiednich nauczycieli, którzy, rozprószywszy się po kraju, szerzyliby tę nową naukę.

— Na czym się ona zasadza?

— Widzi pan, chodzi tu przede wszystkim o wewnętrzne muzyczne uświadomienie jaźni uczących się. — To jest, trzeba, aby przed przystąpieniem do nauki na instrumencie, czy też nauki śpiewania, nauczyć myśleć dźwiękowo i rytmicznie, uzewnętrzniając te myśli własnym głosem. A wtedy przekonamy się, że głos ludzki posiadać może wszystkie właściwości instrumentu. Z tą chwilą, kiedy czytanie nut głosemzostaniezaprorowadzone jako przymusowy przedmiot w szkołach naszych, możemy być spokojni, że kultura muzyczna rozwinięta się u nas niebawem. Dotychczas wszystko znajdowało się na fałszywych torach. Dyrektorowie szkół kła-

dli nacisk nie na to, aby czytano nuty, ale, aby śpiewano piosenki. A właśnie to wykluwanie na pamięć rozmaitych utworów demanierowało naszą młodzież w sposób ohydny. Dziwne jest, że to itak mało kto rozumie. Czy można uczyć literatury kogoś, kto nie umie czytać? Dla czegoż tedy uczy się śpiewać ludzie nie umiejących czytać nut. Ależ to absurd, to prawie zbrodnia! Dosty jest tych melodyjek i piosenek, wyklepkiwanych bez sensu i potrzeby. Dajmy pokój wszystkim popisom, a zabierzmy się na serio do pracy, bo czas ostateczny się zbliża i nie można marnować doskonałej sposobności, która się teraz przed szkolnictwem polskim w nowych otwiera warunkach.

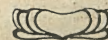
— Co pan sądzi o naszych chórach i ich kwalifikacjach muzycznych?

— Przedewszystkiem śpiew chóralny, ten śpiew, który towarzyszy pracy i jest wytchnieniem po niej, nader rzadkiem jest zbawiskiem. Nad naszymi chórami trzeba pracować ciężko, bo nasze chóry nie umieją czytać nut głosem. Nawet te chóry, które występują publicznie na koncertach, odznaczają się zdumiewającą słabością czytania nut. Są dobrze, jak to mówią, „wkućci“. Zdarza się nieraz że nawet nasi soliści operowi uczą się swoich partji na pamięć. A przecież śpiewak musi być jednocześnie muzykiem.

— Dlaczego pamięciowe opanowanie śpiewu jest złe?

— Bo jest maniera, od której wyzwolnić się niepodobna. Dam panu przykład. Wie pan o tym, że prowadzę chóry dziecięce na Powiślu. Otóż te chóry kształcone na solfegiu są instrumentem czułym, na którym wygrać można wszystko, co zechce kapelmistrz. Dziś będą śpiewać tak, jak ja pragnę. Ale skoro stanie przed nimi kto inny, pójdą za nim bez żadnej trudności. Idą one tak, jak orkiestra za ręką kapelmistrza. Tymczasem chór, który repertuar swój opanował pamięciowo, jest tylko pozytywką, która może śpiewać na jeden sposób. Solfegio daje wielkie korzyści. Dzięki niemu naukę na wszelkim instrumencie osiąga się znacznie prędzej i łatwiej. Jednym słowem, solfegio jest podstawą wykształcenia muzycznego, które powinno stać się udziałem każdego. Wprowadzenie go do szkół naszych jest jedynym remedium na fatalny brak kultury muzycznej u nas. To moje głębokie przekonanie!

St. Dz.



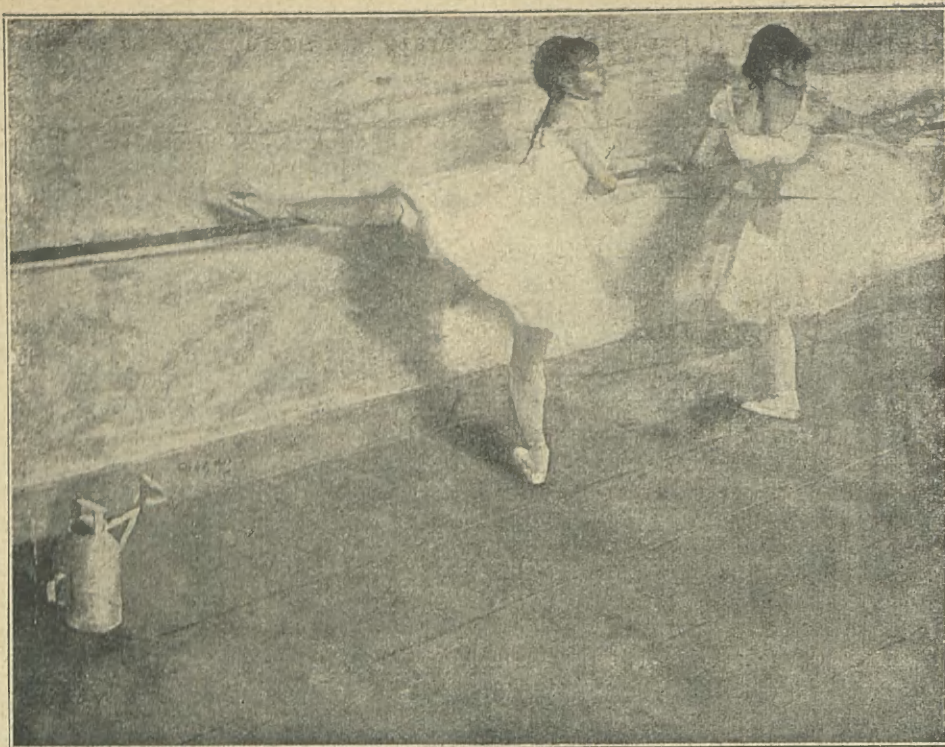
TEATR ROZMAITOŚCI. „Apostata“, sztuka w 4-ach aktach Stanisława Kozłowskiego.

Życie literata polskiego w czasie wojny jest ciężkie nad wyraz. Dręczą go niezliczone troski i niepokoje. Umysł poety, dramaturga, powieściopisarza czy publicysty — bardziej jest wrażliwy, silniej odczuwa wszystkie przeżycia narodu, — jego bóle, niepewności, smutki. Do trosk natury ogólnej dołączają się inne, bardziej przyziemne, niemniej jednak wyczerpujące. Jeśli w okresie pokoju nawet położenie materialne literatów polskich obfitowało w zgryzoty, było nieustanną, męczącą walką o byt, czemże się stało dzisiaj, gdy ruch wydawniczy zamarł, gdy ponad niezbyt u nas zawsze silne potrzeby ducha wysunęły się na plan pierwszy, nieomal wyłączny, potrzeby umarłwionego żołądka! Nie posiadamy w kraju naszym zasobniejszych instytucji, któreby opiekowały się literaturą. Dwie najbogatsze organizacje, Akademia Krakowska i Kasą im. Mianowskiego, troszczą się tylko o ludzi, pracujących naukowo. Pewną pomoc literatom okazały Komitety obywatelskie, instytucje filantropijne. Pomoc ta była dorywcza. W ogólnym budżecie akcji ratowniczej będzie pozycją zgoła znikomą.

Okrutna z mora zasiała na pierśiach, ssie krew, szarpie nerwy, osłabia energię. Czegóż się można spodziewać od twórczości masznych pisarzy, w takich pracujących warunkach? A jednak biegu życia zatrzymać nie można. Gdy zmierzch zapadnie, do sął teatralnych tłoczą się zastępy publiczności, żadnej zapomnieć na chwilę o troskach i niepokojach dnia. Trzeba im uczynić zadość...

Nowa sztuka Kozłowskiego nosi cechy tej twórczości „wojemnej“. Talent autora ujawnia się w dekoracyjnym rozmachu, w efektownie ułożonej akcji. W wykonaniu wszakże widocznym jest pośpiech i powierzchowność. Twórca „Turniej“ nie przetrwał w sobie pomysłu, ani ugruntował w wyobraźni własnej postaci, którym chciał dać życie. Miast dramatu, dał scenarjusz widowiska. Widowiska, które przecież mało-wniczością tła i zewnętrznym ruchem teatralnym obudzi z pewnością zajęcie, wypełni szereg wieczorów.

Osnową „Apostaty“ jest walka następczyni tronu rosyjskiego, małżonki Piotra III, późniejszej Katarzyny II, o władzę. Pójdzie po nią po trupie męża, nie zawaha się przed



Degas. Tancerki przy pracy.

DEGAS.

Dzielny artysta umarł w późnym wieku. Osiemdziesiąt pięć lat skończył, gdy go śmierć zabrała. Dożył jednak sławy. Ta późno doń przyszła. Może to i lepiej dla niego: nie zdążył jej przeżyć.

Pomogła mu wielce do tej sławy spekulacja.

W Paryżu zorganizowana jest ona mistrzostwo. Przy pomocy bardzo chytrych sztuczek umie ona wyzyskać artystę w bezwzględny zwykły sposób. Przy pomocy kosztownej ale nader umiejętnej reklamy umie ona łupić milionerów.

Tak oto pewna sensacyjna licytacja obrazów przyniosła komuś około 300 tysięcy franków za dzieło Degasa, przedstawiające dwie „Baletnice“, ćwiczące się w swoim kunszcie za kulisami Opery. Artysta sprzedał ten obrazek przed laty za marnych 500 franków. Jeżeli był człowiekiem sprytnym, zrozumiał, skąd pochodzi ta nowa, szalona cena za kawałek płótna. Oto spekulanci wykupili jego obrazki, skąd się dało. Pewno chyłkiem już od szeregu lat wybierali je z pracowni artysty, po cenach niskich, i gdy mieli już zapas — urządzili *coup*, o którym długo mówiły pisma całego świata.

Tak opanowali oni obrazy Maneta, Moneta, Henera, Ziema, Milleta. I miliony na nich zarobili.

Jednak podobne spekulacje udają się tylko z prawdziwymi mistrzami.

Degas był mistrzem niezawodnym.

Katalogi banalne wymieniają go pod rubryką impresjonizmu. Słusznie jednak

krytyk niemiecki Fritz Stahl robi uwagę, iż raczej *ekspresjonistą* nazwać by Degasa można. Wystąpił on, co prawda, jednocześnie z impresjonistami na widowni publicznej. I Manet wywarł niezawodny wpływ na niego.

Ale był to wpływ liberujący jedynie.

Swobodę sztuki wziął Degas tylko z otoczenia swojego. I po to, aby pójść własną drogą.

Istotnie, umiał on rysować, niby klasyk. Od Ingesa się tego nauczył. Ale od japońskich drzeworytników przejął jednocześnie realistyczny sposób traktowania dzieła i pozostał realistą do końca. Część jego oryginalności i uroku na tem polegała, że wykwinne baletnice malował w pozach szorstkich z całym prozajizmem, jaki jest atmosferą każdej zawodowości. Balerina Degasa nie ma nic z kobiecego wdzięku, nic z niezdrowej zakulisowej nerwicy. Artysta pokazuje ją — przy pracy. Nawet ruch jej, wysiłony, nie opanowany jeszcze, w trakcie nauki jest przykry.

Interes obrazu to mistrzowska gra światel, rozłożonych na płótnie.

Degas malował pędzlem soczystym i stanowczym. Umiał rysować i czuć kolor; „gardził anegdotą“, to jest literacką czy dramatyczną treścią obrazu; chciał być i był istotnie — tylko malarzem. Uważał to za ideał. Osiągnął go niezawodnie.

d.



krzywoprzysięstwem. To dążenie do władzy, do panowania jest charakterystyczną cechą przyszłej imperatorkowej. Czasem odezwie się w niej kobieta. Młody i wytworny Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, przemówi do jej serca czy może raczej — do jej zmysłów. Lecz będzie tylko epizodem, miłośką. W tym wypadku, według Weiningerowskiej teorii, Katarzyna reprezentuje czynnik męski, Poniatowski — kobiety.

Jest jeden moment w sztuce Koźłowskiego, który można było podnieść do wyżym bolesnej tragedji, — lub też uczynić zeń okropną, Hogartowską satyrę: kiedy Katarzyna przybiecuje Poniatowskiemu, za miłosne wysługi w „błękitnym buduarze“, koronę polską. Autor zanotował ten moment po kronikarsku, obiektywnie, jak nie wyzyskał również niesamowitej sceny krzywoprzysięstwa przyszłej carycy.

Dyrekcja Teatru Rozmaitości zdawała sobie sprawę, że tego rodzaju widowisko może liczyć na powodzenie, jeśli otrzyma odpowiednią wystawę. I należy przyznać, że w tym kierunku uczyniono wszystko, co można było w czasach wojennej drożyzny dokonać. Dekoracje były zgrabnie pomyślane, kostjomy bogate i barwne, reżyserja p. Janusza nader staranna. Artyści również nie poskąpili wysiłku: uczynili to zapewne tem chętniej, że lubią grać role historyczne, lubią upodobniać się do starych portretów. Większe pole do popisu mieli pp. Lüdowa, świetna, znakomita w roli Cesarzowej Elżbiety, p. Ordon-Sosnowska, doskonała w roli Katarzyny II, i p. Józef Węgrzyn, któremu przypadło w udziale odtworzyć postać zdegenerowanego pijaka i rozpustnika, Piotra III. P. Węgrzyn starał się — z powodzeniem — stworzyć figurę głębszą, żyjącą. Nie jego wina, jeśli przypominał swą dawniejszą kreację Pawła I. W bladej i bezkrwistej roli Poniatowskiego ślicznie i stylowo wyglądał p. Jerzy Leszczyński. W pomniejszych rolach odznaczyli się pp. Weryho, Lorentzowa, Janusz (bardzo dobry Szuwałow), Skarzyński, Różycki i inni.

S. K.

TEATR LETNI. „Za ukochanego Naczelnika“, sztuka w 8 obrazach J. Popławskiego, przerobiona z powieści Bolesławity.

Teatr Letni, by uczcić godnie rocznicę zgonu T. Kościuszki, zamieścił przetransponowanie powieści Bolesławity p. t. „Bezimienny“ na scenę. Transpozy-

Opera Mozarta „Uprowadzenie z Seraju“ na scenie Warszawskiej.



Operę wystawiono pod dyrekcją p. Mazurkiewicza i reżyserją p. H. Kawalskiego. Wykonawcami byli: pp. Z. Zabiełto, A. Sari, A. Munclinger, Dobosz i Janowski.

cja posiada wszystkie zalety i wady tego rodzaju robót. Dla szerszej publiczności jest widowiskiem barwnym, o efektach jaskrawych, łatwo przemawiających do uczucia. Fabuła przytem obraca się w świecie przygód zgoła nieprawdopodobnych, kinematograficznych, a więc tym bardziej trafia do przekonania wyższym piętrom. Chodzi o piękną, młodą Polkę, córkę księżny, porwaną przez Moskala a uczestniczkę walki o Niepodległość i Całość w r. 1794.

W ostatnich obrazach widzimy ją w Petersburgu. Przybyła tu ze zniechęconym Moskałem-mężem, by ratować Naczelnika. I obraz ostatni: na scenie zjawia się zausznik Katarzyny hr. Zubow. Wie on o spiskowaniu pięknej Polki, zarzuca na nią siła swoich namietności — dostaje w twarz, co leży na linii prostego rozwiązania sytuacji. Piękna Polka widzi, że jest zgubiona, a więc zabija się sztyletem.

Wtem przychodzi wiadomość, że Katarzyna umarła. Naczelnik będzie wolny. Na tym kończy się ośmioobrazowa, barwna pantomina.

Stosunkowo najładniejszy jest obraz na rynku Staromiejskim w Warszawie. W tym obrazie zjawia się Kościuszko na koniu, witany przez tłum owacyjnie. Orkiestra gra „Bartosza“.

Artyści wszyscy grali sprawnie. Wystawa i reżyserja staranna.

E. C.



Z kroniki towarzyskiej.



Marja Karczewska.



Michał Podlewski.

Dnia 29 września w Świerczynie na Kujawach odbył się ślub panny Marji Karczewskiej, córki ś. p. Marceliego i Elżbiety z Kosińskich, wł. dóbr Czamanin, z panem Michałem Podlewskim, synem Feliksa i Marji z hr. Ronikierów, właścicieli dóbr Nowosiółki, Przewały, Ochotniki, Hajki, Hołoby, Stachów etc. na Wołyniu, delegatem od Wołynia przy Głównym Komitecie Ratunkowym, założycielem Tow. Akc. Kopalni Azbestu na Korsyce p. f. „The Anglo-Foreign Asbestos Company, Limited“.

Państwo młodzi, po krótkim pobycie w Warszawie, wyjechali na Wołyn.

KAZIMIERZ TETMAJER

Notatki literackie

Cena 3 marki.

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Ś. p. Jadwiga z Fuchsów Kozakowska.

Znana ogólnie w naszym mieście rodzina pp. Fuchsów otrzymała wiadomość telegraficzną z Petersburga o bolesnej stracie, jaką poniosła przez nagły zgon ś. p. Jadwigi Kozakowskiej, który nastąpił w dniu 29 września roku bieżącego.



Życie nie było łaskawem dla tej istoty dobrej i szlachetnej. Nie szczędziło jej ciosów. Całe swe

uczucie przelała na swego jedyne go synka, który, stanowiąc cel jej bytu, był dla niej gwiazdą promienną, rozświetlającą mroki jej ciężkiej pielgrzymki życiowej. Niestety, los nieubłagany nie oszczędził jej najboleśniej szego ciosu, jaki może trafić serce matki. Mieszkała dla edukacji dziecka w Lozannie. I oto synek jej, liczący ósmy rok życia, zakończył żywot tragicznie, utonąwszy podczas kąpieli, w jeziorze. Pragnąc złagodzić ten cios straszliwy, ś. p. Jadwiga Kozakowska oddała się z całym poświęceniem pracy nad ulżeniem doli dzieci nieszczęśliwych i opuszczonych, zakładając dla nich ochronkę oraz kuchnię przy ulicy Leszczyńskiej, które pozostawały pod bezpośrednim jej kierunkiem. Po wybuchu wojny zmarła wstąpiła do oddziałów sanitarnych, powstałych pod egidą polskiego komitetu opieki nad rannymi, gdzie pełniła swe obowiązki z całą gorliwością i poświęceniem.

Działając na tak doniosłym polu pracy społeczno-samarytańskiej, zmarła przetrwała na stanowisku przez cały czas trwania krwawych walk pod Rabką i Lublinem. Podczas odstępowania wojsk rosyjskich ś. p. Jadwiga Kozakowska ewakuowana została do Mińska Litewskiego, gdzie założyła ochronkę dla dzieci polskich, nad którą rozciągnęła troskliwą pieczę. Obdarzona hojnie przez naturę najpiękniejszemi zaletami duszy i serca, wrażliwością na cierpienia bliźnich, wzniosłością umysłu oraz głębokiem przywiązaniem do kraju, zmarła ocierała niejedną łzę niedoli. Ś. p. Jadwiga Kozakowska zgasła na obczyźnie w kwiecie wieku, pogrążając przez zgon swój w głębokim i szczerym smutku najbliższą rodzinę oraz liczne koła tych wszystkich, którzy doznali dowodów szlachetności promiennej jej duszy.

Cześć jej pamięci!



Tungstam 1/2 Watowe

dają dzienne ześrodkowane światło przy dużej oszczędności prądu

10370



Szkółka grusz trzyletnich w Górcach pod Warszawą.

istniejące od 1805 roku.

**Zakłady Ogrodnicze
C. ULRICH**

WARSZAWA, CEGLANA № 11

polecają na sezon bieżący

DRZEWAKA i krzewy
owocowe
i ozdobne.

Cenniki bezpłatnie.

10403

S. Celichowski

Szkółki drzew owocowych i parkowych w Podębiu pod Skierniewicami

Plany i zakładanie parków i sadów

Adres dla listów Skierniewice (Skrzynka pocztowa)

lub **Warszawa, Nowogrodzka № 60.**

10388

LOSOWANIE

Pożyczek Premjowych krajowych i zagranicznych
sprawdza bezpłatnie Kantor Bankierski

Józef Skowronek i S-ka, Warszawa, Bielańska № 2 (róg pl. Teatralnego).

Kupno i sprzedaż:

Pieniądzy zagranicznych oraz papierów procentowych.

Losy loteryjne.

10402

T. Z. Osiński

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 142.

**Skład Szkła Porcelany Fajansu
i Naczyń Kamiennych.**

10404

PRACOWNIA Krawiecko-Kuśnierska **Br. UNKIEWICZ** WARSZAWA Hoża № 54.

Poleca: Paleta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Mułki.

Wielki wybór — Najnowsze fasony.

10396

!! ZAWIADOMIENIE !!
Bar Waldschleschen
Moniuszki № 12.

10399

po gruntownym odnowieniu został otwarty pod zarządem znanego kuchmistrza **Emila Koczemy.**

Wykwintna kuchnia, dobór zakąsek. **Ceny przystępne. Wieczorem koncert.**

poleca **WINA z piwnic I. LIJEWSKIEGO i S-ki.**

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 20 października 1917 roku.

№ 42.

G. DANIŁOWSKI.

Zamach na Skąłona.

Któregoś wieczora, gdy w liczniejszym kawiarnianym zebraniu odczytywano kompozycję reporterską o jednej z akcji bojowych, wymknęła mi się uwaga, że należałoby te czyny wiernie utrwalić chociażby dla historii, która bez nich zubożeje o jedną świetną kartę bohaterskiej walki o wolność.

Na to sąsiad mój, znany rewolucjonista, spytał, czy nie chciałbym sam skreślić opisu niektórych bojowych czynów, w czem mógłby mi być pomocny.

Odpowiedziałem: „może“!

I wkrótce otrzymałem paczkę materiałów faktycznych, a potem kilka wizyt nieznanymi mi osobami, które dopełniły dokumenty ustnie. Uprzedzono mnie, że zarówno w słowach, jak w relacjach piśmiennych istnieją pewne luki, które ogłaszać zawcześnie. Dano mi to jedynie, co bez obawy skompromitowania kogośkolwiek opublikować mogę.

Opracowanie materiału li tylko pod względem stylistycznym sprowadziłoby opowiadanie do rzędu suchych protokółów. By je ożywić na zasadzie wrażeń otrzymanych przez zetknięcie się z odpowiednimi ludźmi, rozmów, spostrzeżeń, wreszcie intuicji, postanowiłem cieniować sylwetki zdarzeń i osób. Szkic więc niniejszy nie będzie ściśle dokładną kalką rzeczywistości, ale raczej odręcznym miejscami, fantazyjnym jej rysunkiem, z wiernym zachowaniem ogólnego tła i realnych konturów.

Słynna polska bojówka, która po rozłamie P. P. S. niemal gremjalnie przyłączyła się do Frakcji Rewolucyjnej tej partii, zorganizowawszy się i wyszkoliwszy dostatecznie, postanowiła przystąpić do szeregu akcji na większą skalę.

Decyzja ta zapadła w lecie 1906 roku.

I pierwsze ruchy walecznego zastrępn, niby skoki młodego tła, odznaczają się szczególną gwałtownością i szybkością wprost zdumiewającą.

Po gorącej bitwie pod Herbami, gdzie poległo paru moskiewskich generałów, następuje atak za atakiem, niby pochód zwycięski, prawie tryumfalny. Jednego dnia, zbrojną dłońią zahamowany, zatrzymuje się pociąg pod Celestynowem, nazajutrz koło Pruszkowa, i poczta ze znacznymi sumami, skonfiskowanymi na rzecz rewolucji, staje się zdobyczą bojowców. W tym samym czasie ginie z ich rąk na ulicach Warszawy generał-gubernator Woniarski, trupem pada pomocnik generał-gubernatora i szef żandarmerii generał Margrafski, piętnastego sierpnia w śróde następuje pogrom policji w całym kraju, jednym słowem, nie licząc drobniejszych ciosów, piorun po piorunie uderza w twierdzę najazdu, z których może najciekawszym, genialnie pomyślanym i tylko przypadkowo chybnym staje się zamach na Skąłona — generał-gubernatora Królestwa Polskiego, spełniony w trzy dni po krwawej środzie. Skąłon, godny następcą Huków, Murawjowów,

Czertkowów, główny herszt zgrał niszczącej kraj i rozszarpującej wszystko, co niepodległe i polskie, jako wieszatki, okrutnik, najwyższy przedstawiciel samowładztwa, podboju carskiej przemocy, musiał się spotkać twarzą w twarz z rewolucją, z ognistym protestem, idącym z łona ludu, jak w 63-cim Berg z płomieniem szlacheckim.

Głos ogółu tego żądał, każdy świadomy robotnik o tem marzył, płynęły specjalne składki na bombę dla Skąłona, myśl ta unosiła się w powietrzu, oddychała nią cała zdrowsza część społeczeństwa — ambicją organizacji bojowej stało się to życie wykonać.

I bojówka nie potrzebuje się rumienić, bo choć Skąłona ślepy trafi ocalił, to nie uchylbia jej zupełnie, tak jak nie przynosi ujmy harocującemu po polach śmierci i chwały rycerzowi, gdy mu się koń potknie lub pręśnie pałasza w rękę.

Zamach na Skąłona planowany był długo. Pierwotnie miał być zapanowany bombami na ulicy. Ale mężny generał rzadko wychylał się z Belwederu, a gdy się odważył, to czynił to niespodzianie, różnymi ulicami, chyłkiem, otoczony konwojem dońskich kozaków, t. zw. czerkiesów. Prócz tego na całej przestrzeni przejazdu krążyły chmary szpicli, usuwając wszystkich i wszystko, co wzbudzało choć cień podejrzenia. Belweder i jego okolice wprost stałe się roify od policji jawnej i tajnej.

Najzwyczajniejszy przechodzień, używający spaceru w tych stronach, czuł się odrazu osaczonym, a jeśli się częściej nawijał na oczy, bywał aresztowany, a nawet, jak się później okazało, zdarzyły się wypadki deportacji za rzekome śledzenie generała.

Oczywiście ucierpiał osoby najmniej winne, gdyż świadomi rzeczy

ludzie unikały podejrzanych przechadzek, a umyślnie ich wysłańcy bawili w pobliżu Belwederu krótko i zmieniali się ciągle.

Dzięki temu systemowi nikt z właściwych wywiadowców nie został skompromitowany, ale system ten wymagał uruchomienia olbrzymimi sztabu ludzi, co wraz z sygnalistami i właściwymi sprawcami zamachu uczyniło cały mechanizm niezwykle ciężkim i niezdolnym do sprawnego działania.

Skalton się stale wymykał, i stojący na uboczu przedsięwziętej akcji, niejaki Brunon, długo musiał przekonywać, że nie przypadkowe błędy wchodzą w drogę, ale że wadliwą, bo zbyt skomplikowaną, jest cała maszynierja.

Zdanie Brunona wreszcie zwyciężyło i jemu, jako krytykowi, powierzono całą sprawę, zwłaszcza, że obiecywał (mo i dotrzymał), nie zaniedbując swych dotychczasowych obowiązków — zadanie w ciągu dwu tygodni załatwić.

Nie gonąc po niewiadomych ścieżkach chytrego lisa, ale go z kryjówek wywabić i na fatalne miejsce sprowadzić — stało się podstawą pomysłu Brunona.

Na przynętę został wybrany wikonsul niemiecki, pełniący podówczas obowiązki nieobecnego konsula, baron L., urzędujący na Jasnej, a mieszkający na Natolińskiej pod Nr. 9-tym. Za tym wyborem przemawiało wiele motywów: Natolińska leży w dzielnicy zamieszkałej przeważnie przez Rosyan, z tego względu mniej szpiclowanej, już na krańcach miasta, w okolicy odludnej, z małym ruchem kołowym i pieszym, tembardziej osłabłym, że Nowowiejską ulicą z powodu robót kanalizacyjnych została zagrodzona, przez co Natolińska stawała się ślepą. Wjechawszy w nią, musiało się tą samą drogą wracać. Wszystkie te okoliczności ułatwiały znakomicie zadanie.

W cichej ulicy sygnaliści stawali się zbyteczni, wystarczał turkot generalistycznego powozu, tętent koni liczonej eskorty, słyszany zdaleka — jednym słowem, sam Skalton miał sygnalizować o sobie. Wogóle w całym zamachu mimowoli czynny udział przyjęły wysoko usytuowane osoby.

By zmusić Skaltona do przybycia, na Natolińską, należało zelżyć konsula publicznie przez jakąś osobę oficjalną, na przykład, przez oficera.

Oficerem tym został naprędce mianowany robotnik, człowiek postawny i silny. Odpowiednio wyćwiczony, wyuczony regulaminu, od-

dawania i przyjmowania honorów, przebrany w sztykownym mundur jednego z pułków, stojących na prowincji, mniemany oficer miał „znievažić na ulicy L. za „interwencję“, którą jakoby w sprawie rewolucji miały podjąć Niemcy, i która rozdrażniła opinię rosyjską. Robotnik nie był powiadomiony o celu swego przedsięwzięcia, powiedziano mu tylko, że dobro sprawy tego wymaga, że misja jest poważna, którą należy traktować serio.

I to wystarczało, zwłaszcza, że wesoły robotnicarz miał setną satysfakcję, że mu stójkowi i żołnierze muszą salutować, a szpicle kornie ustępować z drogi.

Podczas gdy robotnicarz bawił się swą rolą, Brunon się niepokoił. Przewidywał bowiem dwa niebezpieczeństwa: że robotnicarz może być zatrzymany za burdę, fałsz się wykryje i plan cały zostanie zwichnięty, następnie lękał się, że czułość rosyjskiego oficera na punkcie interwencji w sprawie upośledzenia Królestwa Polskiego wogóle może się wydać podejrzaną — to też w myśl swojej przewodniej zasady, że wszystko winno posiadać zupełnie naturalne usprawiedliwienie, porobił następujące poprawki: Do oficera, który przesadywał na Zielonym Placu — tedy ho-

wiem L. z niemiecką punktualnością o 3-ej podązał na obiad do Klubu Myślińskiego, została przystawiona przystojna, zalotna panienka.

Zachowanie się tej pary, dla widza z boku, ewentualnie szpicla, ujawniało wyraźnie, że moskal jest zadurzony po uszy w kobietę, dla której pięknych oczu jest gotów zrobić wszystko, — że jednym słowem wybryk „armiejca“ tłumaczy się „intrygą polską“, która wyzyskuje nawet miłość szczerego Rosjanina.

Dalej, z obserwacji nad zachowaniem się barona przekonano się, że jest to człowiek nerwowy, który się ogląda, gdy kto mu następuje na pięty — najlepiej więc go atakować z przodu nagle i niespodzianie; przysiętem napastnikowi trzeba zapewnić nie ucieczkę, ubliżającą szarży oficerskiej, ale poważny, pełen godności odwrót. Jakoż w poniedziałek 13-go sierpnia, gdy L. do ławki się zbliżał, oficer pożegnał się gorąco z damą serca, która wnet się ulotniła, dał się dogonić konsulowi i, obróciwszy się nagle, schwycił go za rękę. Konsul usiłował ją „po japońsku“ wyłamać, ale mocny robotnicarz, udaremniwszy zamiar ze słowami: „wot ciebie mać twaju za interwencju“, znievažił go czynnie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

50

Dowiedziała się nareszcie w dziesiętnej przelomowej sekundzie życia — całej tajemnicy.

Tak, tak; w tej kwestji mademoiselle nie kłamała. — Pani Zosia nie wątpiła w tej chwili ani jednym atomem swojej duszy, że Romek był niewinny.

Przez okno wchodził wtedy Zaręba — to pewne... Wiedzieli o tem wszyscy — naturalnie z wyjątkiem jej samej... To była rodzinna intryga z ciotką Benisją na czele, która — rzecz prosta — z dobrego serca ukartowała to wszystko z właściwą sobie pozytywną trzeźwością. I nieomylna w pojmovaniu szczęścia — szewcką miarą kroila jej przyszłą karierę.

Zohydziwszy jej Romka, rzuciła ją bez wahania w ramiona Horskiego. Czyż istnieje inne szczęście dla kobiety ponad świetną partję? To wszystko takie proste!

I pani Zosia, nie przerywając mademoiselle — zdawała się nadstawić głowę pod nowy topór, jak gdyby zawieszony ponad sobą. A zachęcające jej milczenie zdawało się krzyczeć:

— Bij! Chcę tego!

I mademoiselle w transie histerycznego gniewu, wyszedłszy z równowagi, uderzyła w zapale może mimowoli zbyt boleśnie swoją pupilkę, którą nawet kochała.

— Czemu twoja matka, strzegąca tak wytrwale cnoty swego męża — toleruje obłudnie grzechy swego zięcia, znane całemu miastu?

— ?

— Czemu pozwala, abyś przyjmowała księżnę w swoim domu?

— Ani słowa więcej — chwając się, powstała pani Zosia z siedzenia. — Nie powinnaś była w imię dawnych stosunków przyjaźni, jakie nas łączyły, wtajemniczać mnie ani

849

w brudy domu mojej biednej matki, ani w stare plotki Jędrzejewickie, ani w kalumnje, rzucane na mego męża. Zegnam mademoiselle na zawsze.

— Dziecko moje — jęknęła skruszona po niewczasie Francuzka — kochałam cię zawsze. Pragnęłam twego szczęścia. Jeżeli dziś w uniesieniu mimowolij zbłądziłam — wybacz mi.

— Nie mogę — wykrztusiła pani Zosia. — Nie zobaczymy się już nigdy — wyszła z pokoju.

— A więc pierwsze moje domysły były słuszne? — jęknęła pani Zosia, padając na kanapę.

Nie potrafiła martwić się. Każdy ból moralny odczuwała fizycznie — obalona odrazu obuchem, silniejszym od niej — już nie smutna, lecz zmiażdżona, chora.

Przypomniała sobie w tej chwili, że jest zaproszona na jakąś dziecięcą czekoladę do matki, u której miała już pozostać przez cały wieczór. Z tego powodu zwolniła na dziś nawet swoją pannę służącą, a mąż jej, którego ta zabawa u belle-mery nie nęciła — miał stosownie do tej umowy — po przyjęciu chorych, spędzić wieczór w resursie.

Lecz w tej chwili pani Zosia poczuła, że w obecnym jej nastroju — nie może być mowy o wyjściu z domu. Miała uczucie, że schodząc, na schodach, odrazu zwałiby się, jak kłoda.

Zatelefonowała wnet matce, że z powodu silnej migreny z domu dziś nie ruszy się. Nie uważała jednak za właściwe wtajemniczać w te zmiany męża, które krępowałyby jego plany, powzięte na dzisiejszy wieczór.

Sprawiało jej nawet pewną ulgę i zadowolenie czuć się w domu incognito, zupełnie sama.

Samotność ta, jak balsam — działała na jej zbolące serce, trafione najcelniejszą strzałą.

A więc Romek nie zgrzeszył wobec niej nigdy, ani jedną nawet złą myślą! Jedynie niesprawiedliwą wobec niego — jest ona, z tym wiecznym ideałem życia: być w porządku względem wszystkich!

Lecz strzałą dotknęła jeszcze trafniej samo sedno rozognienia: Oto ona zdecydowała się przecież poświęcić swoje osobiste szczęście temu, który, była przekonana, że bez niej żyć nie mógłby — podczas kiedy ten inną pocieszał się!

Teraz przekonała się, że i tu i tam pomyliła się. Ofiarą jej nie miała sensu. Całe życie jest pomyłką, podwójną straszną pomyłką!

Nie mogła płakać. Pamięta całą swoją dziecięcą fontannę łez, wyla-

nych ongi, z powodu śmierci kanarka. Jak ją te łzy wtedy uspokoiły! Jak po tym płaczu spała wyśmienicie! Ledwie głowę do poduszki przyłożyła! A nazajutrz promieniała od rana, jak kwiaty zroszone rosą.

A teraz ciężko jej na duszy, parno, jak na piaszczystych wydmach pustyni... Przytem w piersiach kłuje i w sercu ten tępy zardzewiały ból...

Na dworze ciemniało już. I pani Zosj sprawiały ulgę te gęstniejące w jej oczach niebieskawe opary mroku, zatapiającego stopniowo cały pokój.

Czuła z ulgą, jak w osłabionych jej oczach nikną kolejno desenie ścian i dywanów; a potem wyrazistość obrzędów, bibelotów i wszystkich znanych jej meblowych konturów.

Uchyliła rąbek koronkowej story u okna, do którego nigdy nie dochodziła.

Sprawiało jej ulgę przyłożenie rozpalonej głowy do zimnej szyby. Bawił ją ten widok ulicy, wydającej jej się z tego punktu jakby obcy.

Rozżalały się kolejno światłem wystawy sklepów, rozsrebrzały się białymi lampami elektrycznymi kawiarnie i aż krzyczały uiluminowane świetlanemi efektami z tysiąca i jednej nocy — kinematografy.

Jakimś obcym tonem uderzał w jej uszy charakterystyczny łoskot kół o szyny tramwajów i trąbki samochodów.

Miała uczucie, że obca jej zupełnie osoba przypatruje się w przejeździe jakiejś obcej cudzoziemskiej stolicy z ciemnego okna hotelowego pokoju, z zaciekawieniem, które dotyczy się jedynie świata zewnętrznego.

Jakiś dobry trans znieczulenia uspakajał jej zmęczone nerwy. Rekreacja odpoczywającego beczynnemu mózgu. Błdy bezmyślny trup i półśmiech zabłądził, niewiadomo skąd, na jej usta...

Jakaś elegancka dorożka zajeżdżała przed ich dom. Pani Zosia drgnęła. Trans minął; przestała już być obcą sobie osobą; wróciła do siebie... Czuje to doskonale po owem kluciu w okolicach serca...

Nie myli się: z poza story ciemnego salonu — niewidzialna — widzi doskonale jarzącą światłem ulicę... Ta dama, rzucająca hojną zapłatę niżko kłaniającemu się dorożkarzowi, wchodząca teraz do bramy jej domu, to ona; Księżna!

Tak — to ona! Nie waha się zajeżdżać wśród tłumu ludzi przed dom swego kochanka! Nie wyzywa opinii. Lecz z cynizmem patentowanej wielko-stylowej awanturnicy — symuluje pod jaskrawą jawnością — grzeszki, tak niezręcznie tajone przez ma-

łe miészczanstwo. Nie ma powodu kryć się, bo jest niewinna!

Ha, ha! Pani Zosia jest najpewniejszą, że nie omyliła się; służący nie zamelduje jej wizyty księżny. To są odwiedziny specjalne jej męża. Jawna schadzka z kochankiem pod małżeńskim dachem!

Ten występny fakt nie zadziwia uczuć patryjarchalnych pani Zosi.

Niestety! Napatrzyła się dość tych dramatów małżeńskich w rodzicielskim domu. Martwi ją jedynie uczucie utraty gruntu pod nogami, celu i możliwości istnienia. Bo jeżeli Horski jej nie kochał — to dlaczego ją zaślubił?

I cui bono ona poświęciła dla niego odtracone własne szczęście? Złamała sobie życie, uwieszona u ramion obcego człowieka, jako kula u nogi w najmylniejszym przeświadczeniu, że jest mu do życia niezbędna?

Pomyłka przez pomyłkę. Rzuciła człowieka, który nigdy jej nie zdradził, i poświęciła życie człowiekowi, który nigdy jej nie kochał! Całe jej życie było pomyłką. Przez pomyłkę unieszczęśliwiła tamtego; unieszczęśliwiła zarazem i tego i samą siebie. Paradne!

— Spokojnie! Tylko spokojnie! — hamowała się, dzwoniąc wskutek dreszczu zębami i dygocącymi rękami poprawiając sobie bezmyślnie włosy.

— Może służący wnet mi księżną zamelduje? — czekała — wtulona w małą kozetkę, ginącą w ciemnym salonie, za jedwabnym, haftowanym parawanikiem z chińskiej laki.

Lecz służący nie zjawiał się.

Ha! Mogła przecież udać się do niego jako pacjentka po poradę lekarską?

Serce jej biło jak młotem. W uszach szumiąco. Zimny pot spływał jej po czole. Dokoła ciemnego pokoju panoszyła się zabójcza cisza.

Po kilku długich chwilach z gabinetu usłyszała głos Horskiego, stojącego tuż na progu ciemnego salonu:

— Nie. Nie trzeba drzwi zamykać. Mówiłem ci: Zosia jest na jakiejś uroczystości w domu rodziców. Nawet w sąsiednim buduarze, w którym zawsze przebywa, jest ciemno, choć drzwi do salonu otwarte.

Pani Zosia, na pół omdlała, nie zdawała sobie dokładnie sprawy, czy to przykry sen, czy rzeczywistość? Czy jest w letargu, w omdleniu, czy w malignie?

Jak długo ukrywa się wśród ciemnej salonu za parawanem? Dlaczego słowa z gabinetu wśród ciszy nie dochodzą do jej uszu...

Zrozumiała, że znajduje się w zbyt dalekim oddaleniu od drzwi, z którego dźwięki giną niezrozumiane.

Chciała wypić czarę trucizny do dna. Zataczając się, zaczęła się, jak cień, aż do samej framugi na pół zamkniętych drzwi. Przystanąła. Teraz miała już dowiedzieć się o wszystkim...

— Więc nie jestem warta żadnej ofiary? — brzmiał rozkapryszony głos księżnej, jakim wybuchają zwykle „robiące sceny“ rozżalone kochanki.

— Ależ pomyśl — bronił się rozpaczliwie miękko Horski — porzucić naraz żonę, praktykę, szpital, lecznicę, posiedzenia lekarskie, dla jakiejś kilkotygodniowej eskapady zagranicę? Jak ten krok wytłomaczyć przed światem, i tak wężącym wszystkie tajemnice?

— Ty wiesz dobrze — wybuchnęła rozżalona księżna w złości zupełnie trzeźwa i szczerą — że nie chodzi mi wcale o ten wyjazd, którego z miejsca mam już po szyję. Lecz chodzi mi o zasadę. Pragnę dowodów twojej miłości.

— Wątpisz w moje uczucie?

— Tak. Pragnę jakichkolwiek ofiar z twojej strony. Ta podróż — to nie był wcale bezmyślny kaprys; żądam od ciebie czegośkolwiek, co wychodzi poza szablon ukochanej normy twego zwykłego przeciętnego życia. Tak było z tobą ongi. Nie zmieniło się i teraz. Sądzę, że miłość moja jest warta poświęceń. Mnie boli fakt, że księżną Witke-Aschenborgh, u której stóp ludzkie całe życie swoje składali, oddała ci się tak łatwo, jak pokojówka.

— Ależ przez Boga, Ireno!

— Tak, jak ostatnia szwaczka! Choć i w moim ładzie pałacowego życia może nie mieścić się wcale romansik z doktorem Horskim. Skwitowałam ze stosunków, ze stanowiska, ze świata. Wszyscy dokoła opuścili mnie. Czy dlatego, że może już zbrzydłam? Może dlatego, że się zestarzałam? Ha! ha! — syczała pewna jeszcze całego rozkwitu swojej królewskiej urody. — Poświęciłam dla ciebie wszystko. Wiesz o tem, że uchodzę za najpiękniejszą kobietę w Europie; wiesz, że księstwo mi ofiarowano; wiesz, że odchodzili od drzwi mojej sypialni największe potęgi europejskie, lordowie, ministrowie, królowie. Wiesz, że hall mego pałacu w Wenecji był skropiony krwią tych kilku, których wśród wielu innych odrzuciłam; choć byli bajecznie piękni, bajecznie bogaci i sławni.

— Jesteś okrutną, Ireno! Dlaczego mi to wszystko mówisz?

— Porzuciłam ich wszystkich dla ciebie, bo cię kochałam. A co ty mi dał wzamian? Nie żądam od ciebie bogactw; posiadam je sama; ani tytułów, ani brylantów, których mam po szyję. Żądam jednego: pewności, że kochasz mnie tak, jak ja ciebie. Nie chcę być wygodną, kontentującą się ochłapami uczuć kochanka. Żądam ofiar: ofiar z twego egoizmu, twego sobkostwa, ofiar z twego statecznego, porządnego, małowieszczajńskiego deptaka, z twoich codziennych przyzwyczajęń życiowego ładu. Chcę, abyś wyfrunął z tej klatki na wolność o szerszych horyzontach; na bezmierny ocean fal, w których zatonię zarówno moja miłtro, jak i twój dyplom lekarski z lecznicami i posiedzeniami.

— Mylisz się, Ireno! Jesteś dla mnie niesprawiedliwą. Kocham cię. Jesteś stokroć piękniejszą, niż kiedykolwiek. Jestem twój; twoim podnóżkiem, służą. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, należałem już do ciebie. Każdy atom mojej jaźni, każda kropla mojej krwi — łąknie ciebie, twego ciała, twego zapachu, twoich uśmiechów, gościów, dźwięku twego głosu. Moja miłość nie jest ślepa. Piękniejszej kobiety przecież niema na świecie. I jestem wdzięczny losom za taki dar królewski. Możesz mnie więc, jak psa kopać, przeganąć — będę wciąż wracał do drzwi twego domu i nie ruszę się, aż umrę, lub jak tamci dwaj — póki słomianki twego progu krwią własną nie zroszę.

— To są wszystko — piękne słowa! — zdecydowała księżna. — Tylko wielkość ofiar z własnego egoizmu dowodzi o sile miłości.

— Słuchaj mnie uważnie, Ireno. Nie pragnę niczego, jak spełnić wszystkie twoje życzenia, które są i moją marzeniami. Lecz mówię ci teraz, jak lekarz, który się nie myli. Żona moja jest bardzo poważnie chora. Auskultowałam niedawno stan jej serca. Niezadługo będę wolny; być może wcześniej, niż się przypuszcza. Wtedy...

— A! — usłyszeli naraz osłupieni z otwartych drzwi ciemnego salonu — dziki krzyk zabijanego zwierzęcia.

— To ona! Podśłuchiwała widocznie pod drzwiami! Muszę zobaczyć, co się stało — wybelkotał, przeczując tragedję Horski.

— Bądź zdrów. Uciekam — wysuwała się z pokoju księżna. — Oczekuję z niecierpliwością telefonu.

Horski pobiegł do salonu i przycisnął guzik lamp elektrycznych. Złotem jarzące światło rozpruło na

raz mroki. I Horski dojrzał tuż przy drzwiach na dywanie wijącą się z bólu nawpół przytomną Zosię.

— Co to jest? — wykrzyknął, pomimo swojej rutyny lekarskiej w pierwszej chwili zdumiony tą niespodziewaną zagadką, którą wnet roztrzygnął:

— Przedwczesny poród, w fazie dla pacjentek najniebezpieczniejszy; tem bardziej dla kobiety tak wątłej, z sercem osłabionem... Nic nie wiedziałem...

Wziął ją na ręce i jak dziecko zaniósł do sypialni; zwołał służbę; zatelefonował do kolegów specjalistów i do rodziny.

Pani Zosia nie poznawała już ani nadbiegłej matki, ani najbliższych. W majętszych mękach, zesłanych przez jakieś złe siły — przenosiła katusze w chorobie, która z miejsca przybrała formę beznadziejnej agonji.

Dalszy ciąg nastąpi.



CHARAKTERY.

Elwira albo młoda kobieta.

Elwira mówi: „Co do mnie, to nie spieszę się nigdy“. Zapewne jest spokojną, że w życiu jej wszystko się zmieści. Robi to, co jej się wydaje przyjemne i nie przedstawia trudności. Uśmiecha się tylko wówczas, gdy myśli, że coś jest zabawne.

Mówi o sobie chętnie i z namysłem. Lubi siebie. Jest wysmukła, spokojna i ładna. Lubi to wszystko, co dzieje się koło niej. Życie jej nie zaciekawia, tylko sprawia jej przyjemność.

Gdy jest w świecie, nie myśli o tryumfach ani hołdach, tylko o zabawie. Lubi podróże, lubi teatr i muzykę. Zna się na dobrej kuchni, na dobrym krawcu, na koniach i na literaturze. Ale nie ma namiętności. Nie jest ciekawa nowych rzeczy ani nowych ludzi. Nie pragnie nic z tego, co widzi u innych. Rzeczy niedostępne są temi właśnie, na które nie zwraca uwagi.

Nie jest ambitna i wszystko jej jedno, co o niej powiedzą. Ukrywa to, co ukrywać wypada — ale nie obawia się niedyskrecyi, nie drży przed skandalem, nie zaskarbia sobie niczyjej życzliwości. Nikogo nie stara się sobie zjednać ani podbić. Wszystko bowiem jest dla niej łatwe i pomyślnie się układa.

Miła jest tedy swemu mężowi, swym dzieciom i swym kochankom. Pogodnie i niefrasobliwie oddaje każdemu, co jest jego. Wszelako nie baczy, czy są to rzeczy królewskie.

Z. Rygier-Natkowska.

W szkole czy poza szkołą?

Z powodu „Szkoły Narodowej” p. K. Sosnowskiego.

Nie potrzeba dziś nikogo przekonywać o tem, że wychowanie fizyczne powinno być przedmiotem badań, organizacji i wysiłków tych, którym dobro młodzieży na sercu leży. Tu leży przyszłość rasy polskiej. To też jeżeli na tym gruncie jakaś kwestja ważniejsza i sporniejsza może wyrosnąć, dotyczyć ona będzie przede wszystkim tego, kto owo wychowanie fizyczne ma głównie prowadzić? Szkoła czy nie-szkoła.

Na szczęście, rozwinięty u nas skautyzm tę sprawę już skierował na właściwe tory. Jego rezultaty już są poprostu radosne, może nawet i wspaniałe. Wystarczy utworzyć dyskretny dozór i kierownictwo, a całą resztę oddać w ręce samych organizacji młodzieży, aby niwa ta narodowego życia zakwitła najcudniejszemi kwiatami zdrowia, tężyzny, solidarności, karności.

Wobec tego tezę prof. Sosnowskiego, wkroploną w sam tytuł nowej jego książki: „Szkoła Narodowa jako krzewicielka kultury zdrowotnej i twórczej energii”, można uważać, jako odsuniętą przez skautyzm polski. Ale sama książka p. Sosnowskiego jest cenna, jako najskrupulatniejszy, jak mniemamy, zbiór wiadomości i rozważań, dotyczących rozwoju fizycznego młodzieży w wieku szkolnym.

Autor pisze prosto i jedźnie. Umie odświeżyć każdy temat. Nigdy nie staje się banalnym. Jak miło, czytając taką książkę, przypomnieć sobie od czasu do czasu, że jej autor jest nauczycielem szkoły polskim. Konstatuje on na początku, żeśmy wykonali to, co nam Ruso za wskazanie polityczne przed stu pięćdziesięciu laty podał: „daliśmy się zjeść, nie daliśmy się strawić”. Ale na tem poprzestać nie możemy. Trzeba nam rozwijać się i iść naprzód. Musimy się przeistaczać i udoskonalać. A to w ten sposób, że „wielu rzeczy się ucząc i wielu rzeczy się odczuwając”. Nauczyć zaś musimy się przede wszystkim równomiernego rozwoju władz życiowych naszych, a więc: sił intelektualnych, sił ekonomicznych (ta nazwa nie jest szcześliwą) i sił fizycznych.

Prof. Sosnowski wartościuje te siły u nas.

A więc pierwszej daje stopień dostateczny, drugiej mniej niż mierny, trzeciej zły.

Choć cenzura to dość smutna, widziałbym u nauczyciela jeszcze nadmiar optymizmu. Inaczej bym ocenił ucznia. Przyznał bym mu zdolności dobre, ot, trójka z plusem, ale postawił bym mu palkę z pilności i palkę z porządku. Bóg go nie upośledził. Ale upośledził on sam siebie. Jest niyguś i flejtuch. Niema „zyciajszu”. A bez tego nie dochodzi się do szacunku w świecie.

Poza temi różnicami piszę się na to, co autor mówi na 6 str.:

— Społeczeństwa wysoce cywilizowane i świadome celów swojego bytu dążą z całą usilnością do wytworzenia doskonałego typu człowieka nie tylko pod względem umysłowym i moralnym, ale też pożytecznym. Tylko równorzędny rozwój tych trzech czynników możemy uważać za ideał wychowania. Dysproporcję swoich sił żywotnych uświadamia sobie jednak polski naród. W nawoływaniu do przebudowy prywatnego i społecznego życia co raz donioślej brzmi głos o mnożenie sił ekonomicznych, a także poczynają się podnosić głowy, wołające o krzepkość fizyczną, o mnożenie cennego skarbu zdrowotności publicznej.

W Galicji sprawą fizycznego wychowania młodzieży szkolnej zajmują się co raz żywiej związki nauczycielstwa ludowego i średniego, w Królestwie towarzystwa higieniczne. Tu i tam brzmi hasło:

— Zdrowe nerwy i silne mięśnie!

W krótkim artykule autor przedstawia dzieje fizycznego wychowania u ludów nowożytnych. Tu Szwecja stanęła na czele narodów. Henryk Ling, ująwszy przedmiot z naukowej strony, postawił genialnie tezę, że gimnastyka nie powinna służyć do tworzenia atletów i rekordowiczów, ale do wszechstronnego rozwoju organizmu, do zapewnienia wszystkim organom dobrego wzrostu, wszystkim funkcjom prawidłowego ruchu. Nie siła ale zdrowie jest jej celem.

Konsekwentnie z tą zasadą i atletyka nowożytna odróżniła się tak znacznie od greckiej. Stała się mianowicie, jako metoda wychowawcza, *lekką atletyką*. I o to właśnie toczyła się niedawno walka między Kolem Sportowem, które stało na racjonalnym gruncie wychowawczym, a sportowem kółkami akademickimi, którym pachniały laury olimpijskie.

System Linga podbił całą Europę i wyrugował tu i owdzie narodowe próby, robione na polu gimnastycznym. We Francji przyjęto go najwcześniej. Potem w Danji, Belgii, Szwajcarii, Chorwacji, Rosji, Włoszech. Najpóźniej w Niemczech.

Tak się rozwinęła gimnastyka sztuczna.

Ale obok niej powstała gimnastyka naturalna, zainicjowana przez d-ra Lagrange'a, Francuza, który żądał dla niej — monopolu. Była to przesada, łatwa do zrozumienia u wynalazcy. Monopolu tej metodzie nie przyznano. Ale dano jej wyższość nad gimnastyką sztuczną.

Czem jest gimnastyka naturalna?

To powrót do natury, do zjednoczonego działania powietrza, słońca i światła z działaniem ruchów naturalnych, jak bieganie, skakanie, wycieczki, gry, zabawy, sporty, turystyka górską i t. p.

W osobnym rozdziale prof. Sosnowski mówi o sprawie racjonalnego rozwoju fizycznego w Polsce. Tu system nie-

mieckiej gimnastyki na przyrządach zbyt długo pokutował. Sokolstwo go nie odrodziło, bo holdowało zbyttnio gimnastyce akrobatycznej. Dopiero w 1910 r. począł „Sokół” wprowadzać gimnastykę szwedzką, naturalną, wreszcie objął swą opieką budzący się ruch harcerski.

Kraków wydał człowieka, znakomitego zasłużonego na tem polu: dr. Henryka Jordana. Ale park jordanowski długo został jedynym, jako gniazdo wychowawcze. Idee Jordana społeczeństwo nie rozumiało, a ze śmiercią twórcy padło i dzieło samo. Ale dobry przykład, jak zdrowe ziarno, puszczone w ziemię, dało jednak owoce: w 1910 r. powstały ogrody Raula w Warszawie, z których korzysta dziennie do dwóch tysięcy dzieci pod kierunkiem Towarzystwa Higienicznego. Zresztą są i inne jeszcze owoce myśli jordanowej: docentura gimnastyki na uniwersytecie krakowskim, Towarzystwo zabaw i gier ruchowych we Lwowie, pismo „Ruch” w Warszawie. Gniazda sokole w Królestwie zdusił rząd rosyjski. W Galicji sokolstwo liczy 28,000 sokołów, w tem 6,000 ćwiczących się. Dla porównania autor daje cyfry niemieckie „Turnvereinu”, na który składa się 9,691 towarzystw, milion członków, w tem 457,000 ćwiczących się i 1,300,000 uczniów. Towarzystwo Tatrzańskie liczy w całej Polsce 2,000 członków, tymczasem Beskiden-Verein na Śląsku ma ich do 5,000.

Te porównawcze dane wystarczą pewno na to, aby ocenić, jak wiele u nas jest na tem polu jeszcze do zrobienia.

Dla zwykłego czytelnika bardziej może od innych w książce p. Sosnowskiego interesującym jest rozdział, zatytułowany: „Szkoła wobec prądów militarne go wychowania fizycznego”. Nie ulega wątpliwości, że od rozwoju fizycznego narodu zawiśła jego wartość bojowa. Wprawdzie o powodzeniu decyduje głównie myśl wodza, intelekt sztabu, wyższość techniki wojennej, ale zawsze żołnierz pozostanie głównym elementem bojowym na wojnie. Hart jego, zdrowie i sprawność fizyczna, wytrzymałość — to czynniki ogromnego znaczenia. Przytem, wojna obecna rozszerzyła służbę wojenną na wszystkich, z wyjątkiem chorych i kalek. Sprawa militaryzacji szkoły ma więc aktualne znaczenie. Robi oto już w tym kierunku doświadczenia. Wychowanie militarne w szkołach stosowano w licznych już państwach: Bułgarii, Serbji, Szwajcarii, Rumunii, Włoszech, Czarnogórze, Francji, Rosji, Niemczech i Austrii.

— Znikąd jednak nie słyhać. — mówi p. Sosnowski, — aby na polu militarne go wychowania w szkole poczyniono dotąd korzystne doświadczenia; tam zwłaszcza, gdzie na instruktorów dopuszczono podoficerów, doświadczenia dotychczasowe są ujemne.

Ciekawem jest, że i w ojczyźnie prądów zmilitaryzowania szkoły, t. j. w Niemczech, liczne przeciwko temu podnoszą się głosy, i to nawet ze sfer wojskowych.

Rezultatem tych prób stało się przekonanie, że:

— Przyszłemu żołnierowi szkoła powinna dać zdrowie; wyów czenie wojskowe da mu służba wojskowa.

Jednakże niektóre wojskowe ćwiczenia powinny wchodzić do gimnastyki szkolnej, a przede wszystkim musztra.

I dalej te wszystkie, „które nie są specjalnością zawodu żołnierskiego, a które mają wartość zdrowotną, więc zarówno żołnierzowi, jak i każdemu człowiekowi mogą być w życiu pożyteczne. A więc: ćwiczenia w marszu z obciążeniem lub bez, ćwiczenia w biegu, umiarkowane ćwiczenia polowe, terenoznawstwo, czytanie mapy, orientowanie się różnymi sposobami, ocenianie odległości i t. p., mogące mieć związek z praktyką życiową“.

Wszystkiem tem właśnie zajmuje się specjalnie harcerstwo.

P Sosnowski harcerstwa nie zapoznaje. Daje mu kwalifikację „szlachetnego“. Ale swój przedmiot tak szczerze zamknął w klasach i kurytarzach szkoły, pisał książkę swoją piórem tak wyłącznie nauczycielskiem, że nie dostrzegali jakby, iż przedmiot jego rozciąga się przecież i poza mury szkolne. Tam, gdzie mówi o gimnastyce naturalnej, łatwo jednak było spostrzec, że szkoła zwykła nie zna środków, ani możliwości praktykowania jej na cokolwiek większą skalę. I że tu konieczną jest jakaś organizacja zdrowia fizycznego młodzieży szkolnej — pozaszkolna.

Otóż taka organizacja istnieje.

To — harcerstwo.

Odpowiednio powszechnie rozwinięte, protegowane rozumnie przez rodziców, kontrolowane roztropnie i dyskretnie przez kierownictwo szkoły a jeszcze roztropniej i o wiele dyskretniej przez władze rządowe oświecenia, harcerstwo może odjąć cały ciężar wychowania fizycznego pedagogom szkoły, którym pozostaną jedynie troski o higienę życia szkolnego w danej dziedzinie. Może to nie odradza się stanie, ale wobec świetnych rezultatów, jakie harcerstwo u nas dało, w tym kierunku niezawodnie należy iść, jak daleko będzie można.

Dlatego cenna książka p. Sosnowskiego, pełna treści i interesująca, a nie tylko dla pedagoga, ale i dla każdego inteligentnego czytelnika, nie wyczerpuje całego przedmiotu. Wymaga dopełnienia, przede wszystkim może ankiety szerszej, kompletu wywiadów z dyrektorami szkół, któreby zgromadziły w jeden rezerwuar sądów doświadczenie już osiągnięte i wyprowadziły z niego wnioski, mogące dostarczyć materiału do wskazań.

Sądzymy, że te wskazania właśnie wyprowadzą niejako „kulturę zdrowotności“ z okręgu, który zamyka formalnie zadania szkoły.

I że oddając ją samej pieczy młodzieży naszej, jako jej dobro od niej samej zależne, nie tylko zdrowie rasy wzmocnią, ale zarazem i wolę zahartują w znakomity sposób.

Alb. Pawłowski.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

38

POWIEŚĆ.

Razumow padł twarzą na bruk i stoczył się po oślizgłym bruku spadzistej w tem miejscu ulicy, aż na sam dół. Tam leżał czas jakiś na grzbiecie, gdy nagle ogromna, młcząca błyskawica oślepiła go prawie. Zasłonił sobie ręką oczy; wstał z trudem i zaczął iść przed siebie, zataczając się jak pijany. Najgłębsza cisza otaczała go zewsząd. W tej ciszy dał silnie i popychał go miłocący wiatr i lał strumieniami bezszelusny deszcz i rozdzierały niebo szerokie błyskawice, a on szedł, szedł jak błędny, nie zatrzymując się, wracając po kilka razy na to samo miejsce.

Rankiem woźnica pierwszego tramwaju zobaczył przemoczonego do nitki mężczyznę, bez kapelusza, ze spuszczoną głową, idącego zwolna pomiędzy szynami. Zaczął dzwonić rozpaczliwie, wtem mężczyzna ten przystanął nagle i padł pod tramwaj.

Gdy go podnieśli ze złamaną ręką i nogą i zmiażdżonym bokiem, Razumow nie stracił przytomności. Widział, jak go podniesiono, widział pochylające się nad nim twarze, giestykulujące ręce, i wszystko to w najgłębszym milczeniu. Usiłował zrozumieć znaczenie tej szczególnej ciszy... I nagle w oczach jego odmalował się taki przestrah, że otaczający go ludzie rzucili się ku niemu. Razumow uczynił wysiłek, by przypomnieć sobie parę francuskich słów.

— *Je suis sourd* — wymówił słabo i zemdlał.

— Głuchy jest! — wykrzyknęli otaczający. — To dla tego nie słyszał tramwaju.

Powieźli go tym samym tramwajem. Ale nim ruszyli z miejsca, jakaś kobieta w zniszczonej, czarnej sukni, która wybiegła z za bramy, przytykającej do drogi prywatnej posiadłości, wdrapała się na tylną platformę i nie chciała zejść.

— Jestem jego krewna — tłumaczyła się złą francuszczyzną. — To Rosjanka, a ja jestem jego krewną.

Nie sprzeciwiano się jej dłużej, a ona usiadła spokojnie i położyła sobie jego głowę na kolanach. Potem, gdy go na noszach zanieśli do szpitala, poszła za nim i gdy go złożono

na łóżku, nie chciała odejść. Z trudem wytłumaczono jej, że nie może pozostać. Portier zauważył, że długi czas stała na przeciwległym chodniku. Potem nagle, jak gdyby sobie coś przypomniałszy, odbiegła.

Namiętna antagonistka wszelkich ministerjów, niewolnica pani de S... postanowiła porzucić miejsce damy do towarzystwa — Egerji Piotra Iwanowicza. Znalazła sobie inne, bardziej przypadające jej do serca zajęcie.

Ale tej samej nocy, gdy burza szalała jeszcze w najlepsze, goście Juljusza Laspary doznali wstrząsającego wrażenia. Straszliwy Nikita, wróciwszy z sieni, wykrzyknął wobec wszystkich swym skrzekliwym głosem:

— Razumow! Pan Razumow! Nadzwyczajny Razumow! Nikt go już za szpiega nie użyje. Nic nie powie, bo już nic w życiu nie usłyszy! Nic! Zgniotłem mu bębenki w uszach. O! możecie mi zawierzyć! Wiem, jak się to robi. Ha! ha! ha! Wiem, jak się to robi.

V.

W dwa tygodnie po pogrzebie pani Haldin nastąpiło moje ostatnie widzenie się z Natalją Haldin.

W ciągu tych posępnych, żałobnych dni, ja jeden tylko przestępowałem próby mieszkania na Boulevard des Philosophes. Myślę, że musiałem być na coś przydatnym, choćby tylko z tego względu, iż mnie jednemu najtragiczniejsza strona położenia wiadomą była. Panna Haldin pielęgnowała matkę sama do ostatniej chwili. Jeśli odwiedziły Razumowa przyczyniły się (jak jestem o tem przeświadczony) do przyśpieszenia zgonu tej nieszczęśliwej kobiety, to dla tego, że ten człowiek, któremu Wiktor Haldin tak bezwzględnie zawierzył, nie zdobył zaufania jego matki. Co jej powiedział, nie wiem, ale zdaje mi się, że umarła pod ciosem ostatecznego rozczarowania. Nie uwierzyła mu. Może nie była już zdolną wierzyć nikomu i wskutek tego nic już nikomu do powiedzenia nie miała, nawet swojej córce. Myślę, że panna Haldin przeżyła najcięższe godziny swego życia przy tem milczącym łożu śmierci. Co do mnie, wyznaję, że gniew mnie po-

rywał na tę nieszczęsną, starą kobietę, za jej upartą nieufność względem własnej córki.

Gdy już było po wszystkim, uśmiełem się. Panna Haldin miała koło siebie swoich rodaków, którzy tłumnie zeszli się na pogrzeb. Ja, oczywiście, byłem także na pogrzebie, ale potem trzymałem się zdaleka, dopóki nie otrzymałem kilku słów od panny Haldin.

„Będzie tak, jak pan by sobie życzył.“ — pisała — „Wracam niezwłocznie do Rosji. Przyjdź pan mnie pożegnać“.

Oczywiście poszedłem, nie tracąc ani chwili. Mieszkanie przy Boulevard des Philosophes wyglądało dziwnie smutno i pusto. Stojąc, zamieniliśmy kilka słów o zdrowiu, poczem Natalja Haldin, wskazawszy mi miejsce na sofie, zaczęła mówić o twarzyć o swoich planach na przyszłość. Miało tedy być, jakem sobie życzył. I już do końca życia. Nigdy więcej nie mieliśmy się zobaczyć. Nigdy!

W milczeniu przyjąłem do serca tę wiadomość. Natalja Haldin wydała mi się dziwnie zmienioną i dojrzałą w ogniu tych okrutnych doświadczeń. Z założoną na pierś rękoma chodziła tam i napowrót po pokoju, mówiąc wolno i stanowczo. Było coś nieopisanie poważnego i spokojnego w jej głosie, postawie i ruchach.

— Możemy teraz pomówić o tem — zauważyła po chwili milczenia, zatrzymując się przedemną. — Czy pan byłes w tych dniach w szpitalu, dowiedzieć się?

— Tak; byłem. — A widząc, że patrzy na mnie badawczo, dodałem:

— Będzie żyć, jak mówią doktorzy. Ale sądziłem, że Tekla...

— Tekla nie była u mnie od kilku dni — przerwała panna Haldin spiesznie. — Ponieważ nigdy nie chciałem iść z nią do szpitala, myśli, że nie mam serca. Rozczarowała się do mnie.

I panna Haldin uśmiechnęła się blade.

— Tak. Tekla przesiaduje przy nim, o ile jej tylko pozwolą — rzekłem. — Powiada, że już go nigdy nie opuści, nigdy, dopóki żyć będzie. I to bardzo szczęśliwie dla niego, takiego bezbromnego kaleki i w dodatku głuchego jak pień.

— Głuchego jak pień! Nie wiedziałam o tem — szepnęła Natalja Haldin.

— Tak. To dziwne nawet, bo mówiono mi, że w głowie żadnych widocznych obrażeń nie ma. Zapewne

też Tekla nie będzie się nim opiekować długo, bo biedak nie pożyje.

Panna Haldin podniosła głowę.

— Dopóki tylko znajdują się ludzie, gotowi do padania pod tramwaje, naszej Tekli zajęcia nie zbraknie. Ona jest Samarytanką z powołania. Rewolucjoniści nie rozumieją i nie oceniają jej. Pomyśl pan tylko, żeby używana była do przewożenia zaszytych w suknię dokumentów lub pisania za dyktandem.

— Tak, przenikliwość rzadką jest na świecie.

Zaledwie wypowiedziałem tę uwagę, już jej pożałowałem. Natalja Haldin, patrząc mi prosto w oczy, skinęła zlekka głową. Nie obraziła się, tylko zaczęła znów chodzić po pokoju. A mnie się wydawało, że każdy jej krok oddala ją odemnie. Zapadło długie milczenie. Ona przerwała je pierwsza.

— Tekla zobaczyła go, zaraz po wypadku. Nie mogłam nigdy dowiedzieć się od niej, jak się to stało. Podobno stanął pomiędzy nimi taki układ — tak ona twierdzi — że w razie potrzeby, nieszczęścia, on się do niej zwróci.

— Czy tak? — rzekłem. — To bardzo szczęśliwie dla niego, bo poświęcenie tej dobrej Samarytanki ogromnie mu się przyda.

Faktem jest, że Tekla, wyrzawszy oknem zrana, zobaczyła Razumowa z gołą głową stojącego na deszczu u stóp tarasu Château Borel. Zawołała na niego, chcąc się dowiedzieć, co to znaczy.

Nie podniósł nawet głowy. Gdy ubrawszy się naprędce, zbiegła na dół, już go nie było. Popędziła za nim i natknęła się na zatrzymany tramwaj i gromadkę ludzi, podnoszących Razumowa. Tyle opowiedziała mi sama Tekla, pewnego dnia, gdyśmy się u drzwi szpitala spotkały. Nie dodała żadnych wyjaśnień, i ja też co prawda nie zaprzętałem sobie głowy (tym, bądź co bądź, dziwnym zbiegiem okoliczności).

— Tak, Nataljo Wiktorowno, będzie on potrzebował opieki, gdy go wypuszczą ze szpitala o kulach i głuchego jak pień. Ale nie zdaje mi się, żeby to o Teklę mu chodziło, gdy jak wariat poleciał w nocy do Château Borel.

— Nie — rzekła Natalja, zatrzymując się nagle przedemną — może i nie.

Usiadła i w zamyśleniu wsparła głowę na rękę. Milczenie zapanowało znowu, ja zaś przypomniałem sobie ten wieczór okropnej spowiedzi Razumowa i tę skargę, którą wy-

szepnęła jej usta: „Nie można być nieszczęśliwszą“.

Wspomnienie to przejęło mnie dreszczem, a zarazem patrząc na nią, zdumiewałem się nad jej spokojem i mocą charakteru. Nie było już Natalji Haldin na świecie, bo przestała zupełnie myśleć o sobie.

Podniosła się raptem, jak osoba, która powzięła jakieś postanowienie, i podeszła do biurka, ogołoczonego obecnie z tych wszystkich drobiazgów codziennego użytku, jakie się na niem zwykle znajdowały. Ale w szufladzie pozostało coś jeszcze, wyjęła z niej bowiem płaską paczkę i przyniosła mi ją.

— To jego pamiętnik — rzekła nagle. — Przyniesiono mi go, owinięty w mój welon. Nie wspomniałam o tem panu w swoim czasie, ale teraz postanowiłam zostawić go panu. Mam prawo to uczynić. Jest moją własnością. Możesz go pan zachować, lub zniszczyć po przeczytaniu. A gdy pan będziesz czytał, pamiętaj, proszę, że byłam bezbronną i że on...

— Bezbronna!.. — powtórzyłem zdumiony, patrząc bystro na nią.

— Tak on mnie tam nazywa — szepnęła. — I to prawda. Byłam bezbronną i może pan sam to zauważyłeś.

Zaczerwieniła się, poczem śmiertelnie zbladła.

— Muszę mu oddać tę sprawiedliwość i prosić, byś pan o tem pamiętał. Och! byłam! byłam!

Wstałem.

— Nie zapomnę niczego, co mi pani mówisz przy tem ostatniem widzeniu się naszym.

Podala mi rękę.

— Tak mi trudno uwierzyć, że widzimy się po raz ostatni — rzekłem.

Ucisnęła moją dłoń i ręce nasze rozplotły się.

— Tak. Wyjeżdżam jutro. Otworzyły mi się nareszcie oczy i mam rozwiązane ręce. A wreszcie... któż z nas Rosjan może pozostać głuchym na stłumiony jęk naszej wielkiej niedoli? Dla świata to może być niczem.

— Świat natomiast słyszy głosy waszej niezgody — rzekłem.

Dokończenie nastąpi.



Dorobek publicysty posiada prawie zawsze wartość względną. Zawsze bowiem rzecz każda widziana z oddali czasu traci wyrazistość linii, gubi aromat i barwę. Słowa, jak gromy, i słowa, jak kwiaty, z oddali czasu wydają się już nie narzędziami walki lub twardej służby publicznej, lecz wyznaniem wiary, wyrazami poglądów, dokumentem temperamentu.

Ginie bezpowrotnie czar chwilowego umiesienia, świętego namaszczenia. Tylko we wspomnieniu tych, co chwile te równocześnie przeżywali, słowo napisane nabiera barwy swoistej, staje się uczuciowym odpowiednikiem zachowanego w pamięci faktu...

Dla pokolenia przyszłego kwiat bezpośrednio zanika. A publicysta tylko w ramach tego bezpośredniego odczucia i zrozumienia posiada rumieniec bezwzględnego życia... Z perspektywy czasu widziane pisma publicystyczne nawet wielkich mistrzów słowa tracą przy dziełach ich innego rodzaju...

Publicystyka jednak ma tę wyższość, że, jako dokument czasu, jest bezwzględnie wyrazicielem tego czasu. Kto przetrawi publicystykę jakiegoś okresu życia narodowego — pozna nurty niepokojące, zrozumie ideały, ujrzy pracę pokolenia.

Ciekawe, że właśnie obecnie zjawia się książka publicystyczna, która jest... już historią. Jak wiadomo, rok temu dwa lata temu rozgrywały się wszystkie te dyskusje, polemiki — a dziś już odpłynęło to w ramiona czasu, zapisało się we wspomnieniu tylko...

Kto dziś bowiem wraca myślą w te czasy, gdy Warszawa pieniała się i kołysała od dyskusji nad kwestią rosyjskiego języka w szkolnictwie polskim po ujęciu wojsk wielkiego księcia? Kto dziś już pamięta, jak ulica Berga burzyła opinię! A jednak warto jest rzeczy te obok wszystkich innych przeżyć zatrzymać na powierzchni wydarzeń... Warto jest wogóle utrwalić te codzienne fluktuacje i troski, które obecnie przeżywamy... Do tego najlepiej nadaje się publicystyka...

Właśnie w publicystyce znajdujemy ten wszechstronny oddźwięk wszystkich spraw, jakie Warszawą wstrząsały, interesowały, niepokoiły podczas tych lat zgrozy, wojny i nadziei...

Z tego zapewne założenia wychodząc, p. Józef Waserzug zebrał swoje prace publicystyczne, pisane podczas wojny w latach okupacji niemieckiej. Artykuły te są kalejdoskopem wszystkich tych wydarzeń wojennych, jakie załamywały się w psychice zainteresowań Warszawy. Troska o kartofel, eiru, śmierć Casementa, węście legionów do stolicy, rewolucja rosyjska i jej warszawskie echa — wszystko to tematy codziennych artykułów, felietonów i notatek, które były drukowane na łamach „Nowej Ga-

zety”, „Głosu Stolicy”, „Widnokregu” i „Wiadomości Polskich”.

P. Waserzug, jako publicysta, posiada ustalone oblicze. Wiadomo, że był zwolennikiem haseł Ligi Państwowości Polskiej i wiele w tym kierunku działał. Obecna jego książka, wydana p. t. „Doświadczenia wojny”, jest jednak dokumentem nie tylko osobistym. Znaleźć w niej można hasła i teorie, ideały i sądy, w których odzwierciedla się duża część opinii publicznej lat ubiegłych...

Książka ta jest przytem pierwszą publicystyczną historią „doświadczeń wojny podczas okupacji niemieckiej”. Sam dobór tematów poucza, w jakim kierunku popychały nas fale wydarzeń, i w jakim kierunku chciano naszą nawę narodową poprowadzić...

Zapewne wszyscy ci, co świadomie przeżyli te lata — wezmą książkę Waserzuga do ręki ze swojego rodzaju satysfakcją. Zamknięty jest w niej jeden z tych, co pracowali dla jutra naszej sprawy. Utrwalone zostało oblicze duchowe, zachowano dorobek tych lat publicysty o dużej sprawności pióra...

U nas przecież najważniejsza praca publicystyczna ginie w rocznikach pism...

A jest ona naprawdę historią, tworzy najciekawsze archiwum tego, co było, co zostało przeżyte, przebolane i nieraz krwią sowicie opłacone. K. Ls.



Skrót dziejów Polski.

Znany popularyzator p. Edmund Jezierski napisał „Skrót Dziejów Polski”. W skrócie swoim objął tak „Dzieje Polski państwowej”, jak i „Dzieje porozbiorowe”. Książeczka wyróżnia się płynnością narracji. Może być używana w szkołach ludowych.

Dzieje powszechne.

Od czasów najdawniejszych po wojnę europejską objął p. Edmund Jezierski „Dzieje powszechne” w publikacji swojej, przeznaczonej dla użytku szkół i samouków. Praca ta oparta jest na opracowaniach z drugiej ręki, zaleca się jednak żywością i barwnością słowa.

P. Wacław Borowy, autor wyczerpującej pracy o twórczości Ignacego Chodźki, ogłosił drukiem bardzo interesujący przyczynek literacki do twórczości Fredry. Dał mianowicie przypuszczalną genezę bajki „Paweł i Gawel”. Porównawczo zestawił opowiadanie z powieści Pigault — Lebrun i Fabułę bajki fredrowskiej. Rzecz ciekawa, że fabuły te są bardzo do siebie podobne. Filiacja tematów jest jakby stwierdzeniem, że Fredro swego „Pawła i Gawła” oparł na tym opowiadaniu.

Bardziej jednak interesującą jest analiza formy tej bajki. P. Borowy wykazał dużą zdolność wycia się w formy wersyfikacyjne i umiejętnie rozłożył na schemat logiczny całe opowiadanie, podkreślając sposoby wierszowania, kładzenia akcentów estetycznych za pomocą zmiany w ilościach zgłosek w wierszu.

Według schematu p. Borowego „Paweł i Gawel” zamknięty w 26 wierszach, na trzynastym łamie się, by przejść do nowego faktu. To złamanie się w tonice wiersza podkreśla przejście tematu opowiadania. Co więcej, p. Borowy wykazuje, że „sprawa akcentów logicznych wiąże się ściśle ze sprawą rymu”. Wogóle ta część pracy p. Borowego zasługuje na uwagę i jest bardzo interesującym przyczynkiem do zrozumienia naszych form wierszowania.

Filiacje bowiem tematów, jak również idei są rzeczami tak dla każdej epoki powszechnymi, że napewno po skrzętnym przeszukaniu literatury tego czasu okaże się, iż nie tylko p. Pigault — Lebrun był wynalazcą przygód Pawła i Gawła.

W każdym razie cenna jest i konkluzja p. Borowego, w której mówi:

„Dom Pawła i Gawła z obcego wprawdzie wzniesiony został budulcu, ale został wzniesiony na polskiej ziemi i w polskim guście”.

Wykład pedagogiki.

Pracując nad odbudową szkolnictwa ludowego, prof. Wład. Spasowski uważa za konieczne, na podstawie swej praktyki wychowawczej w Seminarjach nauczycielskich, wprowadzić tam obszerny wykład pedagogiki, oparty na podstawach filozoficznych, wychodząc z założenia, iż niedostatecznie uwzględniany dotąd pierwiastek teoretyczno-poznawczy ma wartość i znaczenie, nie dające się niczym zastąpić. Broszurka, podzielona na trzy części, zawiera: Zadania, programy psychologii, logiki i teorii poznania, psychologii dziecka, pedagogii, pedagogiki i dydaktyki, historii pedagogiki powszechnej i historii wychowania i nauczania w Polsce. „Wykład pedagogiki w Seminarjach nauczycielskich”, wskazuje również w zakończeniu, w jaki sposób realizacja tych programów powinna być przeprowadzona.

